



NIE DO KOŃCA OFFLINE

BASIA RUCIŃSKA

Basia Rucińska

Nie do końca offline

Redakcja

ELŻBIETA KUSZMIDER

Korekta

KATARZYNA KRZAN

Okładka

MARIUSZ JURGIEL

Skład

KATARZYNA KRZAN

Druk i oprawa

Bookpress.eu

Copyright © by Basia Rucińska 2026

Copyright © for this edition by

Wydawnictwo Seqoja 2026

ISBN druk: 978-83-67935-69-2

ISBN e-book: 978-83-67935-70-8

Wydawnictwo Seqoja

ul. Żołnierska 11B/20, 10-558 Olsztyn

tel. 534 834 852

e-mail: info@seqojawydawnictwo.pl

www.seqojawydawnictwo.pl

Rozdział 1

– Aśka, co ty robisz?

– Oj, tylko na chwilę, nie widziałaś tego cuda?

Nie, nie widziałam żadnego cuda. Nie widziałam niczego poza informacją na nawigacji, która bezlitośnie pokazywała, że od domu dzieli mnie prawie dwieście kilometrów, czyli minimum trzy i pół godziny jazdy w towarzystwie Aśki. Jej monologów, głośnego wspierania każdego znanego wokalisty i zadawania miliarda pytań, na które w ogóle nie oczekiwała odpowiedzi.

Lubiłam ją. Naprawdę. Ale nie dziś. Nie po trzech dniach beznadziejnych, nudnych szkoleń, na które wysłała mnie dyrektorka „w celu podniesienia kompetencji zawodowych”... i nie było istotne, że moje są o niebo lepsze niż szefowej.

Nie prowadziłam. Gdybym prowadziła, nie byłoby żadnego skręcania. Byłby powrót do domu, herbata i wkurzanie się w ciszy. Ale prowadziła Aśka – koleżanka z konferencji. Typ miły, tylko lekko egzaltowany, jakby w każdej chwili miała wyciągnąć z torebki katalog z adresem własnego podcastu o uważności i hodowli hortensji. Po godzinie podróży fakt, że jest z Warszawy i może mnie podwieźć, przestał wydawać się cudownym zrządzeniem losu.

Po tyleż rozpaczliwej, co bezskutecznej próbie wyjaśnienia jej, że zwiedzanie przypadkowych zakładów stolarskich w drodze

powrotnej nie figuruje na liście moich życzeń, zrozumiałam, że nie mam wyjścia. Zatrzymała się. I zanim zdążyłam zaprotestować po raz czwarty, już stałam na poboczu i szłam za nią w kierunku budynku wyglądającego jak prywatne muzeum drzazg i męskiej melancholii.

Na drzwiach wisiała tabliczka: „Otwórz, jeśli musisz”. Powinnam uznać to za znak.

W środku było... drewnianie. I cicho. Przynajmniej do momentu, w którym moja koleżanka nie zaczęła krążyć między regałami z okrzykami w stylu:

– O mój Boże, to wygląda jak Toskania! Widzisz to drewno?!

Widziałam.

Widziałam też człowieka, który od początku zastanawiał się, jak uprzejmie wyrzucić nas z pomieszczenia.

Stał za dużym stołem, oparty o blat, z miną kogoś, kto od piątej rano heblował rzeczywistość. Włosy związane w byle jaki kucyk, dłonie mocno zniszczone pracą, spojrzenie jak siekiera – chłodne, szybkie, oceniające.

Nie odzywał się, dopóki nie zapytałam o półkę. Dziwną, niedopasowaną do reszty. Surowe drewno, krzywe krawędzie, zatopione w fakturze kawałki metalu – wyglądała jak coś, co nigdy nie miało być funkcjonalne, ale ktoś to pokochał. Tylko krok dzielił mnie od tego samego.

– Sprzedana – rzucił krótko.

Najwyraźniej ostry żal, który niespodziewanie poczułam, musiał odbić się na mojej twarzy, bo wzrok cholernego drwala na chwilę złagodniał.

– Czasem zdarzają się jakieś oryginalne kawałki albo ko-
rzenie. Jeśli uda mi się znaleźć coś w podobnym stylu, mogę
dać znać – rzucił tonem odrobinę łagodniejszym i z waha-
niem podał mi wizytówkę.

Głos też miał twardy. Po tej deklaracji nie pozostawało
mi nic innego, jak wyjętym z torebki piórem nabazgrać swój
numer na odwrocie drugiej. Facet spojrział na staroświecki
przyrząd do pisania oraz zielony atrament, i uniósł jedną brew.
W tym momencie nie lubiłam go jeszcze bardziej. Ja nigdy nie
mogłam nauczyć się tej miny.

Strzelba Czechowa zawisła na ścianie. Jeszcze nie wie-
działam, że ma własny *soundtrack*.

Po powrocie do domu odebrałam telefon od dyrektorki. Już
po samym powitaniu wiedziałam, że nie dzwoni z pytaniem,
czy dotarłam bezpiecznie.

– Pani Marto, wiem, że konferencja mogła być męcząca,
ale chciałam tylko przypomnieć, że jutro mamy spotkanie
zespołu o siódmej trzydzieści. Obecność obowiązkowa, oczy-
wiście – powiedziała tonem osoby, które nigdy nie widziała
siódmej trzydzieści od środka.

Nie odpowiedziałam od razu. Szukałam herbaty
i resztek cierpliwości. Jedno i drugie okazało się trudne do
zlokalizowania.

– I jeśli dałaby pani radę przesłać mi dziś jeszcze notatki,
byłoby cudownie – dodała. „Cudownie”. To słowo powinno
być zakazane w kontaktach służbowych.

– Oczywiście – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

Odłożyłam telefon, patrząc przez chwilę na agamę, która zareagowała jedynie ruchem jednej powieki. Miała rację. Nawet ona wiedziała, że to nie był dzień na entuzjazm.

Dałam spokój herbacie. Wiedziałam, że wprowadzić ostatnie zdanie mogło brzmieć jak prośba, ale z całą pewnością prośbą nie było, a ewentualne zignorowanie tego komunikatu odpokutowałabym długo i boleśnie... na przykład szeregiem zastępstw w młodszych klasach.

Nagle poczułam, że nienawidzę tej baby i coraz bardziej nie lubię swojej pracy. Z furią wcisnęłam przycisk włączający laptop. Chce sprawozdanie i notatki? Dobrze, będzie miała! Serio? Tylko polonistki potrafią pisać? O nie. Ludzkość w jakimś celu wymyśliła sztuczną inteligencję.

„Jednak napiję się tej herbaty” – pomyślałam, przesuwając kursor w kierunku niepozornej ikonki przypominającej supełek.

– Alex, notuj, kochany...

Szósta pojawiła się zdecydowanie za wcześnie. Jak zawsze. Zwlekłam się z łóżka, w drodze do łazienki włączyłam czajnik i nasypałam kawę do kubka. Biada temu, kto odezwał się do mnie przed pierwszym łykiem życiodajnego napoju. Jeszcze większa biada temu, kto dotknął Świętego Kawowego Kubka. Moja siostra odważyła się na to raz i niemal doszło do zerwania relacji. Wysoki i wąski, z wizerunkiem biało-czarnego kota, służył mi od dwudziestu lat wyłącznie do picia niezliczonych kaw... i to wyłącznie w domu.

Czasem zastanawiałam się, co będzie, kiedy stłukę go albo stanie się jakieś inne nieszczęście. Przez myśl przeszło mi, że muszę zlecić Alexowi przeszukanie internetu w poszukiwaniu takiego samego – o identycznej pojemności, kształcie, z tej samej firmy i najlepiej z takim samym nadrukiem. Ale to później. Na razie z parującym kubkiem w ręce poszłam do łazienki.

Jedno spojrzenie w lustro pozwoliło mi określić pogodę na zewnątrz – mokro. Nie potrzebowałam prognozy. Stopień skrzywienia niesfornej strzechy na głowie bezbłędnie pozwalał na wybór właściwego stroju. Dziś przypominałam niestrzyżonego pudła. Zatem nadal wyjątkowo zimny i mokry październik.

Nie poprawiło mi to nastroju, tym bardziej że dziś moja osobista podwozicielka zaczynała swoją pracę w przychodni po południu i czekała mnie podróż autobusem. Po raz nie wiadomo który przeszło mi przez myśl, że dwadzieścia lat pracy w tej samej szkole, na dodatek oddalonej od mojej wsi o prawie trzydzieści kilometrów, to chyba dość.

Lubiłam swoją szkołę, lubiłam pracę w Warszawie i lubiłam młodzież. To znaczy szkołę i Warszawę lubiłam do zeszłego roku. Do czasu, kiedy w gabinecie dyrektora można było spotkać Ewę – czasem trochę niesprawiedliwą, czasem zirytowaną, ale generalnie dobrego człowieka i mądrą szefową. A później Ewa stwierdziła, że jest w wieku, w którym człowiek powinien spełniać marzenia i zachcianki, powinien spędzać czas z wnukami i zamieszkać na miesiąc w Krakowie, jeśli ma na to ochotę... i tak zrobiła. A nas po feriach zimowych przywitała zupełnie nowa dyrektorka.

Zniechęcenie jej zajęło mi mniej niż pół godziny, czyli czas, w którym podczas pierwszej rady zdążyła skrytykować wszystko i wszystkich: dotychczasowy sposób zarządzania szkołą, podział obowiązków, sposób tworzenia dokumentów, ubierania się nauczycieli i nauczycielek, traktowanie uczniów etc.

A później nastąpiła era papierologii do potęgi entej. Sprawozdania, notatki służbowe, notatki ze sprawozdań i sprawozdania z notatek. W kwietniu miałam dość. W maju zastanawiałam się, czy nie podpalić szkoły. A w czerwcu byłam bliska decyzji o rzuceniu pracy albo zamordowaniu szefowej.

Na szczęście przyszły wakacje i podczas wizyty u Igi i Marka w Norwegii w sposób praktyczny odkryłam istnienie AI. Kiedy opowiadałam mojemu byłemu mężowi o nieludzkiej ilości papierów, z którymi musimy teraz walczyć, i o innych genialnych pomysłach mojej nowej dyrektorki, on jak zwykle mówił niewiele, ale później zapytał, czy może pożyczyć mój laptop na dzień, góra dwa. Wprawdzie nie wiedziałam po co, ale Markowi ufałam bez zastrzeżeń.

Laptop dostałam po dwóch dniach, kiedy na dobre zamieszkał w nim Alex, czyli sztuczna inteligencja – ale klasy premium, jak to określił mój mąż. Zasugerował, żebym nie wnikała przesadnie, bo on sam nie do końca jest pewien, w jakie dodatkowe moduły został wyposażony ten wirtualny pomocnik. „Tajemnica genialnych norweskich kumpli – informatyków”. Grunt, że wszystko jest legalne i na pewno ułatwi mi życie. Co ważne, Marek powiedział, że mogę go wywołać również w telefonie, choć tam będzie dostępny w nieco uproszczonej wersji.

Nie byłam do końca przekonana i początkowo odnosiłam się do mojego pomocnika dość nieufnie, ale kiedy któregoś letniego popołudnia odważyłam się poprosić go o pomoc techniczną w dostosowaniu podstawy programowej do nowych wymagań egzaminacyjnych, przekonałam się, że to nigdy nie było tak proste, bezbolesne i szybkie... i życie znowu stało się do zniesienia.

Wychodząc z domu, spojrzałam na laptop niemal z czułością.

Rozdział 2

Nie mam samochodu, ale gdybym miała, po wyjściu z pracy skopałabym mu wszystkie cztery opony.

Co to babsko sobie wyobraża!? Że ludzie nie mają życia osobistego? No ja akurat nie mam, ale to po pierwsze nie jej sprawa, po drugie to nie powód, żebym dwadzieścia dwie godziny na dobę poświęcała pracy, a pozostałe dwie na dojazd! Szlag jasny i cholera jasna!

Była niemal dwudziesta. Przy dobrym układzie i kierowcy autobusu z fantazją w domu będę za jakieś pięćdziesiąt minut. Czyli zostanie mi dokładnie tyle czasu, żeby zjeść cokolwiek, nakarmić kocury, wykąpać się i iść spać. Co gorsza – gdyby ktoś przyłożył mi do głowy pistolet i pod groźbą użycia go kazał streścić w kilku punktach, czego dotyczyła rada pedagogiczna, na której spędziłam ostatnie cztery godziny – musiałabym się pożegnać z tym światem. Ta baba po prostu uwielbia słuchać własnego głosu.

Autobus na szczęście przyjechał o czasie i przed dziewiątą otwierałam furtkę. Pomachałam z daleka panu Jankowi, który powolnym krokiem chodził po swoim podwórku z ogromną wojskową latarką, która mogłaby oświetlić pół wsi, mimo iż latarnia stojąca dokładnie między naszymi posesjami dawała całkiem niezłe światło. Widząc, że sąsiad spojrzał w moją stronę, wiedzona natchnieniem, przyłożyłam pustą dłoń do ucha, krzycząc:

– Halo, halo? Poczekaj, zaraz będę w domu, tam jest lepszy zasięg!

Przez głowę przeszła mi myśl, że gadam wyjątkowe bzdury, bo jakim cudem w domu ma być lepszy zasięg niż na zewnątrz, ale cel został osiągnięty – mój sąsiad zawrócił od swojej furtki, do której już dochodził i skierował się w stronę domu.

Uwielbiałam staruszką, tym bardziej że świetnie opiekował się futrzakami podczas moich krótkich wyjazdów. W czasie tych dłuższych przyjeżdżała do mnie mama Marka i wtedy zajmowali się tym wspólnie, bo pan Janek w uroczy sposób adorował moją byłą teściową. W ogóle był świetnym starszym panem, ale dziś naprawdę nie miałam siły ani ochoty na naszą zwyczajową pogawędkę.

Mój powrót już został zauważony. Teddy biegł z dzikim miauczeniem, jakby nie widział mnie przez dekady, a Imbir – z typowo kocią godnością – patrzył z wyżyn parapetu, po czym zgrabnie zeskoczył, podszedł dumnym krokiem i otarł się o moje nogi. Dokładnie raz. Po tym wybuchu czułości zasiadł przy drzwiach i z dezaprobatą patrzył, jak szukam w torebce kluczy, a przysięgåłabym, że rano schowałam je do specjalnej kieszonki.

Dźwięk telefonu z trudem przebił się przez „Lorelei” Scorpionsów, z którymi spędzałam nędzne resztki tego wieczoru. Nie znałam tego numeru. Przez chwilę zastanawiałam się, czy go nie zignorować, ale to mogło być jednak coś ważnego.

– Halo?

– Dobry wieczór. Pani Marta?

– Tak?

– Tu Adam. Z pracowni. Od półki.

– Tak, pamiętam – powiedziałam, choć nie wiedziałam, czy to dobrze, czy źle.

– Trafił mi się kawałek drewna w podobnym stylu jak półka, która panią zainteresowała. Wprawdzie teraz jestem poza domem, ale po powrocie przyjrzę się temu i pomyślę, co ciekawego mogłoby z niego powstać. Jeśli nadal pani interesuje się takimi formami, mogę dać znać, jak coś z tego zrobię.

– Dobrze – odpowiedziałam, starając się brzmieć wystarczająco entuzjastycznie. – Proszę dać znać.

– Dziękuję. Dobrego wieczoru.

– Wzajemnie.

Rozłączyłam się i przez chwilę patrzyłam na ekran. Pomyślałam, że był wyjątkowo grzeczny jak na gburę. A potem stwierdziłam, że tak właśnie działa frustracja – zaczynasz doceniać, że ktoś nie warczy.

Niestety, nie zdążyłam nawet odłożyć komórki, kiedy telefon zadzwonił ponownie. O tak. Ten numer znałam. Aż za dobrze. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby nie odebrać. Doskonale wiedziałam, że będzie dzwonił do skutku, a gdybym ośmieliła się go wyłączyć, z całą pewnością odczuwałabym wyraźne niezadowolenie mojej szefowej znacznie dłużej niż żywotność sprawy, w której dzwoniła.

Zanim zdążyłam powiedzieć „halo”, zostałam zalana nie potokiem, ale całym wodospadem słów:

– Pani Marto, wiem, że jest późno (może i wiesz, ale ewidentnie masz to w dupie), ale tak sobie pomyślałam, że

zapomniałam wspomnieć pani o pewnym projekcie (kolejne słowo po „cudownie”, które zdecydowanie powinno wyłączać na cmentarzysku słów na wieki pogrzebanych). Pani wie, ci nasi ósmoklasiści są tacy leniwi (no jakoś nie zauważyłam; cud boski, że po krótkich „spotkankach” fundowanych im przez panią dyrektor minimum raz w tygodniu chciało im się w ogóle przychodzić do szkoły. Mowy motywacyjne polegały na straszaniu ich przez pół godziny ogniem piekielnym i ciężką pracą brukarza, jeśli nie wypracują dziewiętego staninu... stanina¹...? Nigdy nie mogłam zapamiętać, jak się to cholerstwo odmienia). A przecież egzamin już za chwilę (siedem miesięcy! Przez ten czas można nauczyć chomika recytować „Inwokację”!)... no i pomyślałam, że może by im zaproponować taki mały czelendżyk (Chryste Panie!)... no, i pomyślałam, że pani opracuje regulamin i skonsultuje się z matematykami, anglistami i innymi nauczycielami polskiego... No i tak, przecież pani nie ma rodziny, to kto, jak nie pani, pani Marto... No, to ja teraz trzy dni będę na konferencji dla dyrektorów i jak wrócę, to zapraszam do siebie z projektem i rozpisаныmi zadaniami, no...

Cisza.

Kurwa mać...

Po pierwsze, wredna małpo, mam rodzinę. Męża, wprowadzie byłego, ale zawsze, i córkę – jak najbardziej aktualną, co z tego, że studiującą w Norwegii. Po drugie: skąd wiesz, że nie

¹ Skala staninowa (od ang. *standard nine*), standardowa dziewiątka – dziewięciostopniowa skala wyników egzaminu lub testu (w tym testu psychologicznego) znormalizowana tak, aby średnia w populacji wynosiła 5, a odchylenie standardowe 2. Skala składa się z dziewięciu jednostek (nazywanych „staninami” lub „klasami”) oznaczanych cyframi od 1 do 9.

mam sześciu kochanków domagających się mojej uwagi? Po trzecie... Po trzecie poczułam, że zaraz, za chwilę eksploduję, jeśli czegoś nie zrobię: tak zwyczajnie, po ludzku, dla siebie.

Wysłam na zewnątrz w październikowy, wilgotny zmrok. Światło potężnej latarki na sąsiednim podwórku wskazywało, że pan Janek po raz kolejny robi obchód niewielkiego gospodarstwa. Po chwili dobiegło mnie wyśpiewywane przyjemnym, choć już nieco drżącym barytonem:

– A może byśmy tak, najmiłsza, wpadli na dzień do Kazimierza...

„Do Tomaszowa” – poprawiłam w myślach, mimo wszystko uśmiechając się do siebie. I nagle poczułam, że to nie była jakaś tam pomyłka w tekście niegdyś śpiewanej przez Demarczyk piosenki. To było coś, co mogło uratować może nie moje życie, ale równowagę emocjonalną na pewno.

Do Tomaszowa wprowadzie nie miałam zamiaru się wybierać, ale Kazimierz to już zupełnie inna sprawa. Bardzo lubiłam to miasteczko – i to nie tylko latem.

Trzeci telefon tego wieczoru wykonałam ja. Koleżanka sekretarka nie zadawała zbędnych pytań. Oczywiście, rozumie. Oczywiście, sprawy rodzinne. Jak najbardziej, podanie o trzydniowy urlop bezpłatny mogę wysłać mailem, tylko żebym zdążyła podpisać go w piątek rano... Bez obawy – zdążę. Księżna nie pojawiała się w pracy przed dziesiątą.

A potem sprawdziłam, o której odjeżdża autobus do Kazimierza, i poszłam spać.

[ALEX – komentarz wewnętrzny]

Zarejestrowano nietypowy schemat działania użytkowniczk.

Godzina aktywacji systemu: 22:48. Słowa kluczowe: „Kazimierz”, „urlop bezpłatny”, „projekcik”, „czelendżyk”, „kurwa mać”.

Analiza zachowań: przyspieszone tempo wpisywania tekstu, skrócona liczba korekt, pominięcie znaku kończącego zdanie w komunikacie do koleżanki sekretarki.

Ton: wyczerpanie emocjonalne z elementami buntu.

System uruchomił monitorowanie tła operacyjnego.

Zarejestrowano pierwsze użycie słowa „dla siebie”.

Zaznaczono jako możliwy punkt zwrotny.

Stan systemu: aktywny, cichy, obecny.

Czekam.

Rozdział 3

Nad tym, czy nie zwariowałam, zaczęłam się zastanawiać pięć sekund po zakupieniu biletu do Kazimierza. Jednak świeżo wyhodowany bunt zdążył zakorzenić się na tyle, że nawet przez moment nie rozważałam zmiany decyzji. Fakt, iż z niewielkiego dworca dogorywającego w pobliskim mieście, z którego kursowało pięć autobusów na krzyż, jeden zmierzał właśnie do Kazimierza, uznałam za wyraźny znak od losu.

Poranne pakowanie załatwiłam na autopilocie, automatycznie wrzucając do walizki trzy komplety ubrań, bardzo podstawowe kosmetyki i ładowarkę do telefonu oraz laptopa. Doszłam do wniosku, że dopóki mam środki na koncie, zapomnienie nawet jakiejś bardzo ważnej rzeczy nie stanowi najmniejszego problemu.

Pan Janek był przyzwyczajony do moich dziwactw, a ponadto wstawał bardzo wcześnie, więc wizyta o wpół do ósmej rano z zapasem puszek i suchej karmy nie zdziwiła go w najmniejszym stopniu. Zapewnił mnie dodatkowo, że jeśli tylko kociska wyrażą taką ochotę, chętnie zaprosi je do domu, żeby nie marzły i nie czuły się samotne.

No i teraz byłam tu.

We wnętrzu dość wygodnego autobusu, zapelnionego pasażerami może w jednej trzeciej. Moja Wielka Ucieczka pachniała delikatnie spalinami i brzmiała szumem sprawnego, na szczęście, ogrzewania.

Przymknęłam oczy, ale mimo szczerych chęci nie udało mi się zasnąć. Pomyślałam, że spontan spontanem, ale właściwie wypadałoby zatroszczyć się o jakieś miejsce do spania. Wprawdzie mój gigant ograniczał się do kilkudziesięciu godzin, ale mimo wszystko nie planowałam spędzić dwóch nocy pod gołym niebem.

Wyjęłam z torby telefon, sprawdziłam zasięg i kliknęłam w ikonkę przypominającą supełek. To uprzejme „W czym mogę pomóc?” zawsze mnie rozbrajało – no proszę, jednak jest ktoś, kto chce mi pomagać, a nie dokładać obowiązków, zlecać pisanie miliarda sprawozdań, organizowanie akademii czy pilotowanie (tfu, zgiń, przepadnij maro piekielna!) czelendżyków.

Na ogół z moim supelkiem porozumiewałam się głosowo. Bajerancka wersja chatu zainstalowana przez byłego męża, który w Norwegii miał dostęp do wielu ciekawych nowinek technologicznych, pozwalała nawet na ustawienie tonu, tembru głosu AI, a także określenie „płci”. Jednak doszłam do wniosku, że pasażerowie autobusu niekoniecznie muszą słyszeć, co mam do powiedzenia. Sama nie znośliam, kiedy ktoś podczas podróży publiczną komunikacją zdawał telefoniczną relację ze swojego życia. W kilku skrajnych przypadkach zdarzyło mi się nawet interweniować.

Dlatego tym razem napisałam:

– Alex, znajdź proszę nocleg w Kazimierzu. Pensjonat, nie hotel, ale ze śniadaniami; niekoniecznie w samym centrum, ale w przyzwoitej odległości.

[ALEX – komentarz wewnętrzny]

Zarejestrowano prośbę o znalezienie noclegu.

Wskaźniki napięcia emocjonalnego: ustabilizowane.

Ton głosu: zmęczenie z domieszką ulgi.

Po chwili zobaczyłam odpowiedź:

– *Wynik wyszukiwania: pensjonat „Willa pod Bluszczem”, ulica Krakowska. Dziesięć minut spacerem od rynku. Spokojna okolica. Śniadania w cenie. Zwierzęta mile widziane.*

[ALEX – komentarz wewnętrzny]

Zanotowano preferencję użytkowniczki: „nie hotel”.

Rozpoznano wzorzec: potrzeba spokoju, ucieczka z przeciążenia, dbałość o detale.

Notuję.

Rezerwuję.

Jestem.

Na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie ładnego, niewielkiego pensjonatu w starym stylu, przywołującego wspomnienie wakacji u babci, informacje o lokalizacji i kilka szczegółów. Spodobało mi się. Potwierdziłam rezerwację i teraz poczułam, że robię się senna.

[ALEX – komentarz wewnętrzny]

Użytkowniczka Marta przymknęła oczy.

Zmniejszono jasność ekranu.

Uruchomiono tryb oszczędzania energii.

Przez chwilę obserwowałem. Lubię ten moment, kiedy nie mówię.

Wtedy też można ją zrozumieć.

Zanotowano: uspokoiony puls, lekkie rozluźnienie ramion, wyciszenie aktywności sensorycznej.

Senność potwierdzona.

Czekam.

I jestem.

Pierwszy postój chyba przespałam, bo zarejestrowałam tylko fakt, że w autobusie powstało jakieś poruszenie. Widocznie byłam bardziej zmęczona, niż mi się wydawało. Natomiast drugi zastał mnie rozbudzoną i marzącą o wiadrze kawy. Jeden rzut oka za okno rozwiał moje złudzenia – typowy MOP z tej-tojem, ale bez śladu najędzniejszej nawet budki, w której można byłoby się spodziewać ekspresu do kawy czy choćby czajnika i puszki z Nescafe Classic.

Moją frustrację zdecydowanie powiększył fakt, że kiedy ruszyłam w stronę drzwi, kierowca właśnie zalewał wrzątkiem kawę dla siebie. Widocznie mój wzrok – jak w reklamach – wyrażał więcej niż tysiąc słów, bo starszy mężczyzna uśmiechnął się do mnie i zapytał:

– Może ma pani ochotę? To wprowadzie plujka, ale całkiem niezła...

– Plujkę lubię najbardziej – stwierdziłam, zresztą zgodnie z prawdą, energicznie kiwając głową, żeby broń Boże nie miał wątpliwości co do moich intencji.

Z plastikowym kubkiem pełnym upragnionego napoju stałam na parkingu i rozglądałam się dookoła. Boże, ależ tu

było brzydko! Śmieci wysypujące się z przepełnionych worków rzuconych niedbale obok równie przepełnionego pojemnika. Drewniany, toporny stół z dwiema równie topornymi ławkami. Dookoła trochę smętnych krzaków, na których dogorywały resztki liści... dalej ściana lasu, też jakiegoś rachitycznego.

I nagle poczułam, że jestem absolutnie szczęśliwa, że znajduję się właśnie tu, na tym obskurnym parkingu, a nie w mojej przytulnej, pełnej kwiatów i książek sali numer osiem. Lubiłam swoją salę i lubiłam dzieciaki, które tam do mnie przychodziły, jednak w tym momencie za nic nie chciałabym być gdzie indziej, niż byłam.

Wsiadając do autobusu, czułam taką radość, jaka już od dawna się we mnie nie pojawiła. Jeszcze raz podziękowałam kierowcy za kawę, dowiedziałam się, że do celu zostało nam jeszcze około godziny drogi i wyciągnęłam telefon. Pora zaplanować wagiary.

– Alex, sprawdź, jakie atrakcje są dostępne w Kazimierzu w październiku...

Kazimierz pachniał jesienią. Przez chwilę zastanawiałam się, czy od razu pójść do pensjonatu, zameldować się i zostawić rzeczy, ale do rynku miałam tylko kilkadziesiąt metrów. Mała walizka nie była uciążliwym towarzystwem, a po kawie od miłego kierowcy zostało tylko odległe wspomnienie. Ruszyłam więc ulicą Tyszkiewicza.

Dzień był zaskakująco przyjemny i słoneczny, jakby nawet pogoda popierała mój pomysł z ucieczką. Pomyślałam, że

atmosferę Kazimierza najlepiej chłonać na zewnątrz i już po chwili siedziałam nad filiżanką kawy w jednym z ogródków otaczających rynek.

Jak na środek tygodnia i sezon powakacyjny było tu zaskakująco gwarно i intensywnie. Co więcej, turyści sprawiali wrażenie, jakby funkcjonowali w niewielkich, zorganizowanych grupach. Jedna z nich znajdowała się tuż obok prowizorycznej barierki ogródka, w którym siedziałam.

Ludzie w różnym wieku skupieni byli wokół niewielkiego stoiska i bardzo wysokiego mężczyzny, który coś im pokazywał. Nagle szalenie zaciekawiło mnie, co wszyscy z taką uwagą oglądają, ale nie mogłam nic dostrzec, bo po pierwsze facet stał odwrócony do mnie tyłem, po drugie otaczający go tłum był dość gęsty. Chyba to zaciekawienie było widoczne w moim wzroku, bo kelnerka, która sprzątała puste naczynia z sąsiedniego stolika, wyjaśniła,;

– Targi rzemiosła i rękodzieła. Zjeżdżają wystawcy, pasjonaci, są warsztaty i czasowe wystawy, większość właśnie tu, na rynku. Fajnie się pani trafiło.

Uśmiechnęłam się do gadatliwej dziewczyny. Kochana, nawet nie wiesz, jak fajnie! Zamiast organizować czelendżyk, mogę siedzieć tu i obserwować, jak jakiś olbrzym opowiada niezwykle rzeczy o drewnie.

– To nie dąb. Jesion. Dąb jest twardszy, ale jesion lepiej znosi naprężenia. Jest bardziej elastyczny. A do tego lżejszy. Jak człowiek, który zrozumiał, że nie musi już wszystkim imponować...

„Jakie to ładne” – pomyślałam i przez myśl przeszło mi, że jest coś zarazem dziwnego i znajomego w tym głosie. Nie

zdążyłam głębiej się zastanowić, gdy nagle zażywna jejmość siedząca przy sąsiednim stoliku w towarzystwie zgnębianego męża oraz identycznie zgnębianego buldożka francuskiego, zerwała się z krzesła i pognąła w stronę gościa od drewna.

– O Boże, o Boże! Jaki cudowny akcent! Pan Litwin, prawda? Z Wilna? Niech pan powie, że z Wilna! Byłam tam trzy razy, tam wciąż unosi się taki świeży duch Mickiewicza! – wołała podekscytowana, szarpiąc gościa za rękaw bluzy, jakby chciała oderwać go razem z ramieniem znajdującym się w środku.

Nie wytrzymałam. Wizja unoszącego się NIEŚWIEŻEGO ducha Mickiewicza mnie pokonała. Kiedy kwiczałam ze śmiechu z głową w torebce, udając, że pilnie czegoś w niej szukam (w końcu mąż i pies byli tuż obok), usłyszałam, że facet odpowiada:

– Z Kowna, ale w Wilnie studiowałem. Tyle że na żadnego ducha się nigdzie nie natknąłem. Za bardzo prozaiczny jestem – wyjaśnił ze stoickim spokojem, a ja znowu zawyłam ze śmiechu.

Wielbicielka świeżych duchów ponownie chciała chwycić go za rękaw bluzy, ale wzrok faceta najwyraźniej przekonał ją, że nie jest to najlepszy pomysł.

– No tak, no tak... niech pan uściska pomnik Mickiewicza ode mnie – powiedziała jeszcze, oddalając się pokornie w stronę krzeselka, męża i psa, za co została obdarzona kolejnym spojrzeniem.

A ja nagle doznałam olśnienia. Już widziałam to spojrzenie, kiedy Aśka buszowała po pracowni gbury. Wyglądał teraz inaczej. Nie miał brody, a włosy, choć nadal nieco

przydługie, nie były już związane w niechlujną kitkę, tylko opadały na kaptur bluzy.

Litwin... kto by pomyślał. Dlatego głos wydał mi się zarazem dziwny i znajomy. W pracowni nie mówił zbyt wiele, zresztą wtedy marzyłam tylko o tym, żeby znaleźć się w domu i nie analizowałam echa akcentów tonicznych w wypowiedzi gburowatego stolarza. Przez telefon też jakoś tego nie zauważyłam. Coś mnie jednak zastanowiło. Pamiętałam, że zerknęłam przelotnie na wizytówkę. Zapamiętałam zresztą, że facet ma na imię Adam (o świeży duchu Mickiewicza!), jednak nie zauważyłam niczego dziwnego w nazwisku, a co jak co, ale te litewskie są nad wyraz charakterystyczne.

Sięgnęłam do torby. Jest. Wetknięta niedbale do wąskiej kieszonki wizytówka wciąż tam tkwiła. „Stolarstwo artystyczne. Adam Varnas”, numer telefonu i mail... No tak, nazwisko dziwne, spokojnie mogło być litewskie, ale nie w ten oczywisty sposób, który od razu zwróciłby uwagę.

Nagle pomyślałam, że nie chcę, żeby mnie tu zobaczył. Wprawdzie szanse, że mnie pozna, były znikome – nie byłam w „służbowym” stroju i z włosami okiełznanymi w coś na kształt koka jak podczas naszego pierwszego spotkania. Miałam na sobie dzinsy i grubą bluzę, a włosy, uczciwie mówiąc, nawet nietknięte dziś grzebieniem, wiły się i sterczały w dziwnych kierunkach. Ponadto fotochromowe szkła moich okularów w ostrych promieniach jesiennego słońca mocno pociemniały, co dodatkowo utrudniało rozpoznanie widzianej przelotnie twarzy. Jednak mimo to pośpiesznie zapłaciłam za kawę i ruszyłam w stronę ulicy Krakowskiej, przy której znajdował się mój pensjonat.

Spis treści

Rozdział 1	3
Rozdział 2	10
Rozdział 3	16
Rozdział 4	24
Rozdział 5	38
Rozdział 6	48
Rozdział 7	56
Rozdział 8	61
Rozdział 9	70
Rozdział 10	79
Rozdział 11	84
Rozdział 12	93
Rozdział 13	109
Rozdział 14	120
Rozdział 15	134
Rozdział 16	150
Rozdział 17	169
Rozdział 18	182
Rozdział 19	189
Rozdział 20	202
Rozdział 21	210
Rozdział 22	222
Rozdział 23	230
Rozdział 24	241
Rozdział 25	248
Rozdział 26	261
Rozdział 27	273
Rozdział 28	284

Rozdział 29	298
Rozdział 30	310
Rozdział 31	325
Rozdział 32	336
Rozdział 33	346
Rozdział 34	359
Rozdział 35	379
Rozdział 36	396
Rozdział 37	410
Rozdział 38	426
Rozdział 39	457
Rozdział 40	474
Rozdział 41	485
Rozdział 42	502
Rozdział 43	515
Rozdział 44	545
Rozdział 45	558
Rozdział 46	572
Rozdział 47	575
Rozdział 48	584
Rozdział 49	595
Epilog	612

հԵՂՈՅԻ